

GRAHAM MASTERTON

Pewnych
demonów lepiej
nie budzić...



SPIRITUAL FILOMENY

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE HOUSE AT PHANTOM PARK

Copyright © Graham Masterton 2022
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Małgorzata Stefaniuk 2023

Redakcja: Agnieszka Łodzińska

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek

Zdjęcia na okładce: Ysbrand Cosijn/Shutterstock.com (*dom*);
getgg/Shutterstock.com (*niebo*); Lindsay Stone/Shutterstock.com (*trawa*);
klyaksun/Shutterstock.com (*dym*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział 1

Krzyk był tak rozdzierający, tak pełen udręki i trwał tak długo, że Alex upuścił iPada na łóżko i wybiegł na korytarz.

Ponieważ hałas zdawał się dobiegać z piętra niżej, Alex pobiegł w stronę schodów. Zanim jednak zdążył do nich dotrzeć, wszystko nagle ucichło. Serce waliło mu jak młotem. Chwycił się balustrady i spojrzał w dół – nikogo tam nie było.

– Halo?! – zawołał. – Halo?! Czy potrzebna jest pomoc? Halo?

Czekał, nasłuchiwał, lecz odpowiedź nie nadeszła. Skrzypiącymi dębowymi schodami zszedł na drugie piętro. W szpitalu było już teraz zupełnie cicho, spowijał go mrok, nie licząc przecinających stopnie schodów trzech wąskich strużek światła słonecznego z unoszącymi się w nich drobkami kurzu.

– Halo?! – zawołał ponownie, lecz tylko raz; dźwięk własnego głosu niepokojąco przypominał mu, że miał tu być jedyną obecną osobą. Szpital stał pusty już od ponad dwóch lat, choć w wielu salach ogólnych i jednoosobowych

pokojach pozostały łóżka. Niektóre nadal były zasłane poplamioną i wymiętą pościelą, na niektórych leżały poduszki, wciąż z wgnieceniami po głowach ostatnich pacjentów.

Alex ruszył korytarzem oznakowanym jako skrzydło Wellingtona. Po każdej jego stronie znajdowało się ośmioro drzwi, niektóre były otwarte. Dębową posadzkę pokrywało cętkowane zielone linoleum, mimo to podłoga skrzypiała, kiedy po niej stapał. Na dalekim końcu korytarza znajdowało się okno z witrażem herbu rodziny Carverów, do której ten dom należał, zanim został zarekwirowany i przerobiony na szpital wojskowy. Herb przedstawiał stojącego na tylnych nogach białego byka z pierścieniem w nosie, ale też w piusce na łbie i w białej pelerynie, jak papież.

Alex zaglądał do każdego pokoju po kolei. Nie licząc łóżek i stojących przy nich szafek oraz kilku stojaków na kropłówki, sale były puste.

Dotarł do końca korytarza i odwrócił się. Kto, do cholery, tak krzyczał? Był pewien, że sobie tego nie wyobraził. Możliwe, że w budynku przebywali nielegalni lokatorzy i krzyczeli, żeby go wystraszyć i przepędzić. Wątpliwe jednak, by wiedzieli, z jakiego powodu tu jest i dlaczego mierzy budynek przed jego przekształceniem w luksusowy dom spokojnej starości.

Wrócił do klatki schodowej. Zastanawiał się, czy nie powinien przeszukać całego gmachu, tyle że to zajęłoby co najmniej pół godziny, a mierzenie górnego piętra musiał dokończyć, zanim zacznie się ściemniać. Prąd nadal był odłączony; mieli go włączyć najwcześniej w przyszłym tygodniu.

Zaczął wspinać się na schody i wtedy usłyszał odgłos

zamykanych drzwi. Wydawało się, że trzasnęły gdzieś na korytarzu w skrzydle Montgomery'ego. Korytarz prowadził do oddziału z wieloma łózkami, sali, w której niegdyś mieściła się biblioteka Carverów.

Alex zawahał się. Na zewnątrz wiał silny jesienny wiatr, w salach szpitala hulały przeciągi, było więc całkiem prawdopodobne, że drzwi mogły zamknąć się same. Ale nawet jeśli zatrasnął je nielegalny lokator czy inny intruz, to czy mierzenie się z tym jest naprawdę jego zadaniem? Jest mierzniczym, na litość boską, nie policjantem.

Trzymając się poręczy, zrobił krok w górę, potem kolejny. Właśnie miał zrobić trzeci, gdy usłyszał stęknienie. Brzmiało to jak jęk kogoś pogrążonego w bólu i w rozpacz i trwało i trwało, i stawało się coraz głośniejsze i głośniejsze, i coraz bardziej zdesperowane. Bez wątpienia dochodziło ze skrzydła Montgomery'ego.

O cholera, zaklął w duchu. Ktoś tu jest i to ktoś ciężko ranny. Chyba mogę przynajmniej sprawdzić, gdzie ten ktoś jest i co mu się stało, i wezwać karetkę, jeśli się okaże, że będzie potrzebna.

Wrócił na dół, przemierzył korytarz i otworzył podwójne drzwi oddziału w skrzydle Montgomery'ego. Do sali wpadały ostatnie promienie pomarańczowego słońca, gdyż po lewej jej stronie znajdowały się trzy wysokie okna, każde wychodzące na taras z roztaczającym się z niego widokiem na las okalający szpital. Targane wiatrem drzewa falowały gwałtownie, jakby ostrzegały go z oddali, aby zachował ostrożność.

W sali stało osiem łóżek, wszystkie wzdłuż prawej ściany. Na żadnym nie było pościeli, koców ani poduszek i

tylko przy jednym stał stojak do kroplówek, żałośnie powyginany.

Zbolałe jęczenie nie ustępowało, raz ciche i zduszone, raz urastające prawie do krzyku. A jednak w sali nie było nikogo – w każdym razie nikogo, kogo Alex mógłby zobaczyć. Przeszedł wolno wzdłuż łóżek, pochylając głowę, aby zajrzeć pod każde. Gdy dotarł do ostatniego, jęk stał się jeszcze głośniejszy i jeszcze bardziej przepełniony udręką. Łóżko było puste, lecz materac miał wgniecenie na środku, jakby ktoś na nim leżał. Alex odniósł wrażenie, że wgłębienie się porusza, jakby leżący na materacu przewalał się z boku na bok w męczarniach.

Zaskoczony i zarazem przerażony, wpatrywał się w materac przez kilka sekund, jęk zaś w tym czasie opadł do najniższego poziomu; bardziej przypominał rżenie niż jęczenie. Po chwili jednak ponownie podniósł się do potwornego krzyku, sprężyny łóżka skrzypnęły głośno, ugięły się i Alex poczuł, że za kłapy marynarki chwytają go czyjeś dwie silne dłonie. Został gwałtownie pociągnięty w dół i przewrócony na łóżko.

Nie miał jednak czasu walczyć, bo gdy tylko wyładował na materacu, krocze zacisnął mu niewyobrażalny ból – zupełnie jakby upadł na tory kolejowe, na podłączoną do prądu szynę – ból, który go oślepił i ogłuszył; z gardła wyrwał mu się tak przeraźliwy krzyk, że pomyślał, iż rozdarł je sobie na krwawe strzępy.

Spadł z łóżka na podłogę i uderzył głową w stojak na kroplówkę; ten przewrócił się na niego z łoskotem. Miotał się, kopał i krzyczał, ale ból był nieubłagany i stawał się coraz bardziej i bardziej niemożliwy do zniesienia.

Alex leżał na podłodze i wył. Za wysokimi oknami napływały z zachodu coraz gęstsze chmury burzowe i bardziej przysłaniały zachodzące słońce; oddział zaczął się szybko pogrążyć w ciemności. A ból wciąż trwał, nieważne, jak głośno Alex krzyczał, szlochał, jęczał i błagał, żeby ktoś go wybawił od tego cierpienia.

Nikt jednak nie przychodził, w końcu więc zamilkł i z zamkniętymi oczami zastanawiał się, jak taki ból może w ogóle istnieć.

W najciemniejszych godzinach nocy wydawało mu się, że słyszy głosy, nie mógł jednak zrozumieć, co ci ludzie do siebie mówili. Zawołał dwa, trzy razy, lecz nikt mu nie odpowiadał. A ból wciąż trwał.

Rozdział 2

– Patrz, jest jego samochód – rzuciła Lilian, gdy David wjechał na dziedziniec szpitala Świętej Filomeny. – Zupełnie nie pojmuję, dlaczego nie odbierał, kiedy do niego dzwoniłam.

– Może nie ma tu zasięgu – odparł David.

– Dzwonił do mnie zaraz po przyjeździe. Mówił, że idzie mu dobrze i że ma nadzieję zmierzyć całe górne piętro, jeszcze zanim zrobi się zbyt ciemno. Zwykle jest bardzo solidny. Klub golfowy Kingswood zmierzył w dwa dni.

Lilian wysiadła z samochodu i poprawiła spódnicę. W ciągu tygodnia przytyła co najmniej kilogram i spódnica w pasie była odrobinę przyciasna. Przysięgała sobie, że przestanie jeść pieczywo, wracała jednak do domu tak późno, że zamiast zupy czy sałatki, robiła sobie kanapki. Teraz żałowała, że nie włożyła dziś bielizny wyszczuplającej.

David przysłonił oczy ręką.

– Czy to on tam na górze?

– Gdzie?

– Tam, na ostatnim piętrze. Chyba wyglądał przez okno.

Przez to obok bluszczu. Ktoś tam był. Widziałem czyjąś twarz, ale już zniknęła.

– Może masz rację i faktycznie nie ma tu zasięgu. Wejdźmy i sprawdźmy, jak sobie radzi.

Przeszli wysypanym żwirem dziedzińcem do portyku. Świętą Filomeną Lilian ekscytowała się bardziej niż jakimkolwiek projektem, którego realizacji się podjęła. Ten niegdyś szpital wojskowy był imponującym budynkiem w stylu jakobińskiego, zbudowanym z brązowej cegły ze szprosowymi oknami i misternie zdobionymi kominami. Otoczony ponad trzydziestoma hektarami lasów porastających North Downs w Surrey, wydawał się pewniakiem; wiedziała, że jest w stanie przekształcić go w oszałamiający kompleks mieszkalny o nazwie Park Filomeny, który sprzeda się za miliony.

Zanim weszła na ganek, przystanęła na chwilę i rozglądała się, wsłuchując się w delikatny szelest drzew okalających dom. Chyba jeszcze nigdy nie czuła się tak usatysfakcjonowana i spełniona.

– Zobacz, zostawił te cholerne drzwi otwarte na całą szerokość – sarknął David.

Odwróciła się.

– Czyli jednak musiał odsłuchać moją wiadomość i spodziewa się nas – powiedziała.

– Niezbyt to przeznaczone. Mógł tu wejść każdy i zabrać, cokolwiek by zechciał.

– Tylko co ktoś miałby stąd ukraść? Stare łóżka szpitalne? Nawet bym tego chciała. Zaoszczędziłoby to nam wydatków związanych z ich wywiezieniem.

Weszli do holu wyłożonego dębową boazerią i wyblakłym

szkarłatnym dywanem. Pachniało w nim drewnem i trochę również środkami antyseptycznymi. Większość obrazów została już usunięta, ale portret poprzedniego właściciela Świętej Filomeny, sir Edmonda Carvera, wisiał nadal obok klatki schodowej. Sir Edmond miał opadające siwe wąsy i worki pod oczami, przez co wyglądał na niewypowiedzianie zmęczonego, jakby życie mocno dało mu się we znaki mimo bogactwa oraz osiągnięć w roli bankiera i wielkiego filantropa.

– Alex! – zawołał David. – Przyjechaliśmy, kolego! Gdzie jesteś?

Nie było odzewu, zawołał więc ponownie.

– Alex! Jesteś na górze?

Nadal żadnej odpowiedzi. Z jedną brwią podniesioną David odwrócił się do Lilian; zaczynał wyglądać na zaniepokojonego.

– Byłem pewien, że to jego widziałem w tamtym oknie. Ale może to nie był on. Mam tylko nadzieję, że to nie dziki lokator.

– Nawet jeśli, to co się stało z Alexem?

– Chyba pójdę i sprawdzę, czy tam jest, jak myślisz? – spytał David, prawie jakby miał nadzieję, że Lilian powie, żeby nie zwracał sobie głowy.

– W porządku – zgodziła się. – A ja rozejrzę się na dole. Może mierzy piwnicę i dlatego nas nie usłyszał.

– A jeżeli okaże się, że ta osoba, którą widziałem, to dziki lokator?

– Wtedy mnie zawołaj. Zawsze przecież możemy wezwać policję, jeśli będzie trzeba.

Z wyraźną niechęcią David zaczął wspinać się po scho-

dach, a Lilian w tym czasie przeszła do dużego, wysoko sklepionego salonu. Jedynym meblem, który tu pozostał, był zepchnięty w kąt staroświecki fotel. Wszystkie zasłony były ściągnięte, dywan zwinięty, a parkiet usiany żwirem, niedopałkami papierosów i grudkami tynku. W kominku z piaskowca ktoś porzucił metalowy chodzik na kółkach.

Nad gzymsem kominka nadal wisiało zakurzone lustro i przechodząc obok, Lilian dostrzegła w nim swoje odbicie. W tak ogromnym pomieszczeniu, jakim był ten salon, wyglądała, jakby się skurczyła, zupełnie jak postać z filmu *Alicja po drugiej stronie lustra*. Podeszła bliżej do kominka, wspięła się na palce, przyjrzała się sobie i z zadowoleniem stwierdziła, że nie wygląda tak grubo, jak się czuła.

Zmierzwiała przycięte na krótkiego pazia kasztanowe włosy i wydeła jaskrawoczerwone usta. Twarz miała okrągłą, z lekką zapowiedzią podwójnego podbródka, ale w szczęśliwych początkowych dniach małżeństwa jej były mąż Tim zawsze mówił, że bardzo kocha te jej piwne „jak błyszczące szyszki” oczy i mały, zadarty „nosek jak skocznia narciarska” – tak go nazywał. Ale to było, zanim stracił pracę jako kadrowiec w Price Waterhouse, zaczął pić, krzyczeć na nią, bić i obwiniać za wszystko, co poszło źle w jego życiu.

Dzisiaj miała na sobie czarny biznesowy kostium Hugo Bossa. Do pracy zawsze ubierała się w czarne kostiumy, bo uważała, że dodają jej autorytetu i odciągają uwagę od figury – a przynajmniej tak jej się wydawało.

Podeszła do wychodzących na taras drzwi i wyjrzała na zarośnięty ogród. Już wcześniej wybrała miejsce, w którym planowała wybudować basen dla lokatorów, z elegancką kamienną werandą w stylu włoskim.

Nadal wyglądała na ogród, gdy nagle usłyszała hałas dochodzący od strony kuchni. Odwróciła się i zaczęła nasłuchiwać. Przez chwilę było zupełnie cicho, a potem wydało jej się, że słyszy czyjeś przytłumione i powtarzające się jęki.

– Ach... ach... aaach!

Pospieszyła z powrotem do holu.

– Halo?! – zawołała. – Czy ktoś tam jest?

Odpowiedziała jej cisza.

– David? Znalazłeś już Alexa?

Nadal cisza.

Ruszyła szybko korytarzem prowadzącym do kuchni. Choć jej ściany były nadal wyłożone oliwkowozielonymi wiktoriańskimi kafelkami, to gdy Świętą Filomenę przekształcono w szpital, wszystkie oryginalne piece zostały usunięte i zastąpione nowoczesnymi kuchenkami. Dębowy kredens jednak został i dwie z jego górnych szuflad były wysunięte, a na posadzce z czerwonej terakoty leżało kilka noży kuchennych.

Lilian pochyliła się, aby je pozbierać, ale wtedy znów usłyszała zduszone „Aaach”. Dochodziło z sąsiadującego z kuchnią pomieszczenia gospodarczego, zwanego dawniej zmywalnią.

– Czy ktoś tam jest? – zapytała, usiłując brzmieć tak dyrektorsko, jak to tylko możliwe. – Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że to prywatny budynek i że nie wolno ci tu przebywać!

Odpowiedzi nie było, wrzuciła więc noże do szuflady, zamknęła ją i przeszła do zmywalni. Wyposażone w głęboki żeliwny zlewozmywak i dwa mahoniowe ociekacze pomieszczenie wyglądało prawie tak samo jak za czasów

wiktoriańskich, choć jedną z dolnych szafek usunięto, aby w jej miejsce zamontować zmywarkę.

Ku swemu zdumieniu stwierdziła, że w zmywalni nikogo nie ma. Poszła na sam jej koniec, aż do tylnych drzwi wychodzących na ogród, i spróbowała je otworzyć. W zamku tkwił klucz, ale drzwi były zamknięte.

Tuż obok nich stała szafka z dużymi drzwiczkami. Otworzyła je, w środku jednak nie było nic poza przedpotopowym mopem, wiadrem i szczotką do zamywania, prawie pozbawioną włosów.

Może to tylko odgłosy ze starych rur kanalizacyjnych szpitala, pomyślała, albo wiatr wiejący pod drzwiami zmywaka. Ale szuflada w kredensie nie mogła się sama otworzyć. I jak z niej wypadły noże?

Odczekała chwilę, na wypadek gdyby ktoś jednak w kuchni był i w jakiś sposób zdołał się ukryć, być może w jednym z piekarników, choć nie miała odwagi otworzyć żadnego, by się o tym przekonać. Zresztą powiedziała sobie, że ten ktoś musiałby chyba być z gumy, żeby się w nim zmieścić.

Nasłuchiwała, lecz już nie usłyszała żadnych zduszonych jęków, wróciła więc korytarzem do holu wejściowego. Gdy dotarła do schodów, obejrzała się przez ramię, by się upewnić, że nikt za nią nie idzie.

– David?! – zawołała, wciąż patrząc za siebie. – Znalazłeś Alexa?

I wtedy usłyszała przerażający krzyk dobiegający skądś z góry. Brzmiało to jak krzyk kogoś doznającego niewyobrażalnego bólu; ostatni raz coś podobnego słyszała, gdy labrador jej sąsiada wpadł pod autobus i został zmiażdżony

przez koła.

– David! Kto tak krzyczy? Co się tam dzieje? David?!

– Nie wiem! – odkrzyknął David. – To dochodzi z jednej z sal! Na drugim piętrze! Idę tam teraz!

– Zaczekaj na mnie! – zawołała Lilian i ruszyła schodami na górę. Krzyk ani na chwilę nie ustawał. Desperacki, wznosił się i opadał, jakby ten ktoś wyśpiewywał arię w jakiejś krwawej operze, jak choćby *Zamek Sinobrodego*, w której połowa obsady umiera zasztyletowana.

David czekał na nią na drugim piętrze. Na twarzy miał wyraz czystego przerażenia.

– To chyba dochodzi z tamtego pokoju! – powiedział, podnosząc głos, żeby Lilian mogła go usłyszeć ponad hałasem. – W skrzydle Montgomery’ego!

Lilian ruszyła korytarzem bez słowa, David za nią. Pchnęła drzwi prowadzące do skrzydła Montgomery’ego i przekonała się, że tutaj krzyk jest już tak przeszywający, że ledwo dawało się go znieść. Kiedy dotarła na środek sali, natychmiast zobaczyła, skąd pochodził. Alex leżał w oddalonym końcu oddziału na plecach, z głową i ramionami pod łóżkiem, i jak szalony wierzgał nogami. Szare spodnie miał przesiąknięte w kroku moczem i sądząc po kolorze plamy, również chyba i kałem.

Lilian podbiegła i uklękła przy nim.

– David... pomóż mi go podnieść.

Mimo że Alex nadal gwałtownie kopał, udało im się chwycić go za kostki i wyciągnąć spod łóżka. Niebieskie oczy miał przekrwione i wybałuszone i choć patrzył na Lilian i Davida, wydawało się, że ich nie widzi; może cierpiał tak straszliwie, że był ślepy na wszystko poza bólem. Od

zacieklego zagryzania jego wargi były porozdzierane, a broda i szyja umazane we krwi.

I ani na chwilę nie przestawał się rzucać, a nogami wierzgał tak intensywnie, że spadł mu but z jednej stopy. I nie tylko to – przez cały czas walił się pięściami w pierś, naprawdę mocno, jakby karał się za odczuwanie takich tortur lub próbował sprawić, by jego serce się nie zatrzymało.

– Alex! To ja, Lilian! Alex, powiedz, co się stało?

Kręcił głową, kręcił nią z boku na bok, lecz nie odpowiadał. Spomiędzy jego warg wysunął się język i Lilian zobaczyła, że odgryzł sobie jego koniec. Kiedy ponownie krzyknął, bokiem ust wytrysnęły bąbelki krwi i skapnęły na podłogę.

Lilian wstała, wyjęła telefon i wybrała numer pogotowia. Kiedy operator odebrał, musiała przejść pod okno i zatkać ucho palcem, by usłyszeć cokolwiek ponad wrzaskami.

– Proszę o pilny przyjazd karetki, szpital Świętej Filomeny w Downlea. Jesteśmy na drugim piętrze, w skrzydle Montgomery’ego. Do mężczyzny po trzydziestce, Alexa Fowlera. Straszliwie cierpi, ale nie wiem, co mu się stało. Nie widzę żadnych obrażeń. Proszę tylko posłuchać...

Nie rozłączając się, wróciła do łóżka i uklękła przy Alexie. Chcąc go uspokoić, położyła mu dłoń na czole; było zimne i złane potem.

Wreszcie po trzech lub czterech minutach, wydawszy z siebie charkliwe stęknienie, Alex zamilkł. Lilian przestraszyła się, że stanęło mu serce, lecz nadal dygotał i ciężko sapał. Był tak wyczerpany, że w końcu mimo bólu zasnął, choć wyglądało na to, że cierpi nawet we śnie.

Rozdział 3

– Mój Boże, Mo! – zawołała Grace, gdy Moses usiadł rano przy stole kuchennym. – Co się stało? Znowu śnił ci się ten koszmar?

Moses skinął głową.

– Myślałem, że to się już skończyło. Ale wczoraj w nocy wrócił i był gorszy i wyraźniejszy niż kiedykolwiek. Zupełnie, jakbym tam znowu był. To dlatego się przenieśliśmy i spałem w pokoju gościnnym.

– A ja myślałam, że było ci ze mną za gorąco.

Ukrył twarz w dłoniach.

– Ja się chyba nigdy z tego nie otrząsnę. Myślałem, że te sesje z doktorem Walmsleyem pomogą mi o tym zapomnieć. I nawet przez pewien czas nie pamiętałem. Ale wczoraj w nocy... znów tam byłem, Grace. Znów byłem w Kajaki, w tym upale, kurzu i smrodzie, a kapral Simons leżał tam przede mną.

Grace obeszła stół i położyła rękę na ramieniu męża, jakby udzielała błogosławieństwa.

Spojrzał na nią i westchnął ciężko.

– Mówię ci, będę widział kaprała Simonsa leżącego tam przede mną do końca swoich dni – powiedział.

Grace pocałowała go w czubek łysej głowy.

– Najlepsza terapia, jaką mogę ci teraz zaserwować, to kubek mocnej herbaty. I śniadanie. Miałam zamiar zrobić akarę z akamu.

– Nie wiem, czy jestem w stanie cokolwiek zjeść, kochanie. Przez ten koszmar mam ściśnięty żołądek.

– Och, mówisz tak teraz, ale zaczekaj, aż trochę popracujesz w ogrodzie. Wrócisz tu i zaczniesz narzekać, że umierasz z głodu, a ja będę wtedy oczywiście w trakcie prasowania.

Grace przeszła przez kuchnię, wstawiła wodę na herbatę, po czym zapaliła gaz pod patelnią i zaczęła smażyć akarę, pierożki, które robiła z czarnej fasoli i ostrej papryki i które podawała z akamu, budyniem ze sfermentowanej kukurydzy. Było to jedno z ulubionych śniadań Mosesa, zaraz po zupce błyskawicznej o smaku kurczaka z makaronem, do której dodawała jajka.

– Nie zapomnij, że po południu odbierasz Lewisa i Darę ze szkoły – powiedziała, gdy postawiła przed mężem talerz i porcelanową miskę z akamu do maczania pierożków.

– Nie, nie zapomnę. Oni mi zawsze poprawiają humor. Czy Blessing mówił, kiedy wróci?

– Jeszcze nie wie. Ale nie będzie późno.

Moses miał usta pełne akary, gdy zadzwonił jego telefon. Wyjął go z kieszonki koszuli i kiedy zobaczył nieznany mu numer, zmarszczył brwi.

– Halo? – powiedział do słuchawki.

– Czy to kapitan Moses Akinyemi?

- Tak, ale już emerytowany. Od dziesięciu lat.
- Z tej strony Robert Wells. Szef oddziału ratunkowego szpitala Świętego Heliera w Sutton.
- Och, tak? W czym mogę pomóc?
- Przepraszam, że przeszkadzam, ale rano przyjęliśmy pacjenta cierpiącego na ostre bóle. Musiałem na razie sklasyfikować je jako przewlekłą dysestezję, bo nie możemy znaleźć absolutnie żadnych oznak tego, co może być ich przyczyną... ani zewnętrznych, ani wewnętrznych. Splot trzewny jest bez urazów i bez zapalenia. Poza tym otrzymałem właśnie wyniki tomografii komputerowej: jama brzuszna też jest w stu procentach czysta. Żadnych tętniaków, obrzęków, guzów. No po prostu nic.

Moses przełknął kawałek pierożka.

– Jak już powiedziałem, proszę pana, na emeryturę z Wojskowego Korpusu Medycznego przeszedłem dziesięć lat temu, nie bardzo więc rozumiem, dlaczego to właśnie do mnie pan dzwoni. Byłem lekarzem frontowym i nigdy nie spotkałem się z takim przypadkiem, jaki pan opisuje. Wszyscy, którymi się zajmowałem, mieli albo rany postrzałowe, albo rozległe obrażenia powstałe na skutek wybuchu min czy bomb.

– Jestem tego świadomy, kapitanie. Ale mimo że nasz pacjent ledwie znosi ból, to podczas kilku krótkich momentów przytomności zdołał nam powiedzieć, jak się nazywa... i wymienił pańskie nazwisko. Powiedział, że uratował mu pan życie i że lepiej niż ktokolwiek inny będzie pan wiedział, dlaczego odczuwa tak wielki ból. Skontaktowaliśmy się z centralą Korpusu Medycznego Armii Królewskiej w Camberley i tam podali nam pański numer.

– Ja uratowałem mu życie? Kiedy? W jaki sposób? Jak powiedział, że się nazywa?

– Terence Simons.

Moses spojrział przez kuchnię na Grace, która akurat wycierała zmyte naczynia. Spytała bezgłośnie: „Kto to?”. Machnął ręką na znak, że powie później.

– Opatrywałem raz rannego, niejakiego Simonsa, w Afganistanie. Kapral Simons, imienia nie poznałem. I, tak... prawdopodobnie uratowałem mu życie. Ale to było dwa tysiące trzynastym. A obrażenia, które odniósł... Proszę mi wierzyć, jedyne słowo na ich opisanie to „dramat”. Jeśli wasz pacjent nie jest kaleką, nie może być tym samym Simonsem, w żaden sposób nie może nim być. Simons, którego opatrywałem, stracił obie nogi i część lewej ręki oraz był ślepy na jedno oko.

– W takim razie na pewno nie mówimy o tym samym człowieku – zgodził się doktor Wells. – Jest pan absolutnie pewien, że nigdy nie leczył żadnego innego pacjenta o nazwisku Simons?

– Myślę, że mogłem leczyć innego Simonsa. To było dawno temu, nie pamiętam każdego rannego, którego ratowałem. Były ich dziesiątki i w większości przypadków nie miałem kiedy poznać ich personaliów. Mundury mieli poszarpane i całe we krwi, a zespoły ratownictwa medycznego przylatywały po nich chinookami i zabierały ich, zanim odzyskiwali przytomność... to znaczy, jeśli w ogóle ją odzyskiwali.

– Cóż, coś panu powiem – zaczął doktor Wells. – Każę zrobić zdjęcie temu nieszczęśnikowi i prześlę je panu. Może to pobudzi pańską pamięć. Chodzi o to, że ten człowiek tak

straszliwie cierpi, a my poza faszerowaniem go oksymorfonem nie mamy żadnego innego pomysłu na uśmierzenie jego bólu.

– W porządku... Dobrze. Proszę przesłać mi zdjęcie, a ja zobaczę, czy go rozpoznaję.

Moses odłożył telefon na stół i wpatrywał się w niego tak, jakby się bał, że za chwilę wybuchnie.

– Co się stało? – zapytała go Grace. – Kto to był?

– Lekarz z Heliera. Mówi, że mają pacjenta, który mnie zna. Pacjenta o nazwisku Simons.

– Ale chyba to nie kapral Simons?

Moses odsunął stojący przed nim talerz.

– Przykro mi, Grace, więcej nie mogę. Ten telefon całkowicie mnie zniechęcił.

– Ale nie może chodzić o kaprala Simonsa, Moses! Przecież to niemożliwe!

♦ ♦ ♦

Moses poszedł usiąść w salonie, a Grace po chwili przyniosła mu kubek jego ulubionego nigeryjskiego napoju zrobieonego z herbaty, kakao i mleka.

– Wypij to, zanim wystygnie. Potrzebujesz czegoś, co cię wzmocni.

Na parapecie obok ich ślubnego zdjęcia stało oprawione w ramkę zdjęcie Mosesa z kilkoma innymi członkami jego zespołu medycznego, zrobione w obozie Bastion. Moses był na nim w mundurze bojowym, z małą maskotką w kształcie głowy małpy, zwisającą z klapy. Głowa małpy była amuletem, który dostał od matki, aby chronił go przed nieszczęściami.

Moses nie mógł oderwać oczu od tego zdjęcia. Chociaż wiedział, że Grace ma rację i że pacjent, który został przyjęty do Świętego Heliera, w żadnym razie nie może być tym samym kapralem Simonsem, którego opatrywał przy drodze w Kajaki, wciąż przepełniała go groza – ta sama mroczna groza, jaką czuł zawsze, gdy wsiadał do opancerzonego pojazdu patrolowego, którym miał być dowieziony do frontowej bazy operacyjnej.

Jego pobyt w Afganistanie był czymś, czego miał nigdy nie zapomnieć. Zwłaszcza nie mógłby zapomnieć widoku kaprała Simonsa leżącego na skalnym zboczu z obiema nogami zmiażdżonymi, z lewym okiem zwisającym z oczodołu i lewym przedramieniem rozerwanym na strzępy. Nogi Simonsa nie wyglądały nawet jak nogi, bo za sprawą wybuchu były oblepione krwią i pyłem. Eksplozja wtłoczyła ziemię, kurz i zwierzęce odchody w krwawą dziurę w jego pachwinie.

A jednak mimo tych straszliwych obrażeń Simons spoznał wtedy na niego jedynym pozostałym okiem i uśmiechnął się. Naprawdę się uśmiechnął. A potem zapytał:

– Co to było? Mina pułapka? Bo nic nie słyszałem.

Telefon Mosesa znowu zawibrował. Sięgnął po niego i zobaczył zdjęcie, które doktor Wells wysłał mu przez komunikator. Przedstawiało bladego trzydziestoparoletniego mężczyznę z pieprzykiem na górnej wardze i biznesową krótką fryzurą. Miał zmarszczone czoło, jakby rozwiązywał jakieś szczególnie trudne zadanie matematyczne, ale Moses z doświadczenia wiedział, że w rzeczywistości usilnie starał się skupić na czymkolwiek innym poza nieznosnym bólem.

Nigdy tego człowieka nie widział, zresztą wyglądał zbyt

młodo, by mógł służyć w Afganistanie. Oddzwonił do doktora Wellsa.

– Nie, panie doktorze. Nie rozpoznaję go. Zupełnie nie rozpoznaję.

– Jest pan pewien? Bo on nieustannie powtarza pana nazwisko.

– Nigdy w życiu nie widziałem go na oczy. Jestem tego pewien. Zresztą, skoro nie ma żadnych śladów poważnych obrażeń, żadnych blizn bojowych, niby z jakiej racji miałbym go znać i leczyć? Sądząc po jego wieku, wątpię, żeby był w wojsku w tym samym czasie co ja... to znaczy, jeśli w ogóle kiedykolwiek był w wojsku.

– Powiem szczerze, kapitanie, że naprawdę trudno jest mi to zrozumieć. Pańskie nazwisko nie jest ani pospolite, ani też szczególnie łatwe do wymówienia. Zupełnie nie mam pojęcia, w jakich okolicznościach lub gdzie ten pacjent mógł je usłyszeć ani też dlaczego jest tak przekonany, że to pan uratował mu życie.

– Przykro mi, nie mogę panu pomóc. Pozostaje mi mieć nadzieję, że znajdziecie jakiś sposób na to, by ulżyć temu biedakowi w cierpieniu.

Doktor Wells przez chwilę milczał. Potem powiedział:

– Zdaję sobie sprawę, że proszę o wiele, ale czy istnieje możliwość, żeby przyjechał pan do szpitala i zobaczył się z nim osobiście? On się bardzo upiera, że jest pan jedyną osobą, która może pomóc w uśmierzeniu jego bólu.

– Naprawdę nie wiem, w jaki sposób miałbym mu pomóc. Zwłaszcza że przecież go nie znam.

– Cóż, decyzja należy oczywiście do pana. Ale w razie czego jesteśmy gotowi pokryć wszystkie pańskie wydatki...

opłatę za taksówkę, jeśli to będzie konieczne, i wszelkie inne poniesione koszty. Powiem szczerze... skończyły mi się już pomysły i jeśli istnieje choćby nikła szansa, że przyniesie pan temu pacjentowi nawet odrobinę wytnienia, myślę, że warto spróbować.

Moses wziął głęboki oddech. Czy Afganistan kiedykolwiek zostawi go w spokoju? Ale choć był na emeryturze, nie przestał przecież być lekarzem, a tu inny lekarz prosił go o pomoc.

Zakrył ręką telefon i zwrócił się do żony:

– Chce, żebym pojechał do Heliera i zobaczył tego człowieka.

– Nie rób tego. Nie, jeśli miałyby cię to zdenerwować.

– Muszę. Jak mógłbym odmówić?

Grace pokręciła głową.

– Cóż, jedź, skoro uważasz, że musisz. Ale nie wybaczę ci, jeżeli znów będziesz budził się w nocy zlany potem, krzycząc.

• • •

Kiedy Moses przyjechał do Heliera, akurat zaczęło padać. Szpital, ogromne skupisko białych betonowych budynków w modernistycznym stylu z lat trzydziestych XX wieku, był największy w Surrey i Moses dobrze go znał, ponieważ się w nim urodził. Ostatni raz odwiedził go, gdy ich starszy syn Isaac prawie umarł z powodu przedawkowania heroiny. Teraz przyszło mu na myśl, że jeśli jakiegokolwiek inne miejsce poza bazą Bastion miałyby go prześladować w koszmarach, byłby to właśnie ten szpital.

Doktor Wells czekał na niego na oddziale ratunkowym.

Z krągłymi ramionami i wydatnym brzuchem, na którym opinał się biały fartuch, przypominał Falstaffa. Miał bujną grzywę siwych włosów oraz ciężkie okulary, które wyglądały, jakby w każdej chwili mogły zsunąć mu się z końca nosa. Obok niego stała dwójka pielęgniarzy: szczupły mężczyzna z mocno zaciśniętymi ustami, z wyglądu Koreańczyk lub Chińczyk, i trzymająca tablet rudowłosa młoda kobieta z twarzą usianą piegami.

Oddział był zatłoczony. W porze lunchu na A217 doszło do poważnego wypadku drogowego z udziałem autobusu szkolnego i betoniarki i kilkoro dzieci poniosło ciężkie obrażenia. Pielęgniarki biegały w tę i we w tę, sanitariusze toczyli korytarzami wózki na skrzypiących kółkach, w poczekalni tłoczyli się niespokojni rodzice.

– Przenieśliśmy naszego pacjenta na górę – poinformował gościa doktor Wells. – Znów zaczął krzyczeć i nie przestawał, nawet po podaniu środków uspokajających, więc umieściliśmy go tam, gdzie nie będzie mógł niepokoić innych pacjentów. Zwłaszcza tych najmłodszych.

Zaprowadził Mosesa do windy i nacisnął guzik drugiego piętra.

– Muszę szczerze powiedzieć, że jeszcze nigdy, przez całe trzydzieści pięć lat pracy, nie spotkałem się z takim przypadkiem. Oczywiście leczyłem wielu pacjentów z bólami psychosomatycznymi, zwykle wywołanymi stresem emocjonalnym. Skurcze żołądka, migreny, tego typu rzeczy. Ale ten pacjent odczuwa rozdzierający ból wszędzie, poczynając od stóp, a kończąc na głowie, choć wydaje się, że nie ma ku temu żadnego powodu, ani fizycznego, ani psychicznego.

– Kiedy został przyjęty?

– Dziś rano, około wpół do ósmej. To mierniczy pracujący dla firmy deweloperskiej. Podobno robił pomiary budynku w Downlea, w którym niegdyś mieścił się szpital Filomeny. Koledzy znaleźli go na jednym z oddziałów i o ile im wiadomo, przeleżał tam w męczarniach całą noc.

– Mówił pan, że nazywa się Terence Simons, tak?

– Upiera się, żeby tak go nazywać – wtrąciła się rudowłosa pielęgniarka, mówiąca z silnym manchesterskim akcentem. Podniosła tabletkę, postukała w niego i dodała: – Jego koledzy powiedzieli nam, że naprawdę nazywa się Alex Fowler. Ma trzydzieści cztery lata, jest stanu wolnego i mieszka z matką w Dorking.

Dojechali na miejsce, wysiedli z windy i ruszyli korytarzem.

– Sprawdzaliście historię jego chorób? – spytał Moses.

– Oczywiście. Przeszedł zwykłe choroby dziecięce, no wie pan, ospa wietrzna i odra, lecz poza sporadycznymi epizodami egzemy, był w miarę zdrowy.

Skręcili za róg i tam rudowłosa pielęgniarka podniosła rękę do ucha.

– Słyszycie? Na razie cicho. Módlmy się, żeby nie zaczął znowu krzyczeć.

Kiedy dotarli do ostatnich drzwi na końcu korytarza, kobieta otworzyła je. W środku panował półmrok, bo ciemnozielone rolety zasłaniały całe okno. Alex leżał na plecach, w poplamionym szpitalnym fartuchu, bez poduszki, nieprzykryty ani kołdrą, ani kocem. Poręczce po obu stronach łóżka były podniesione, żeby pacjent nie spadł na podłogę. W odległym kącie pokoju siedziała czarna studentka

pielęgniarstwa; gdy Moses z doktorem Wellsem oraz dwójką pielęgniarzy weszli do sali, szybko wstała.

Doktor Wells podszedł do łóżka i spojrzał na Alexa ponad oprawkami okularów.

– No, no – rzucił. – Jest pan przytomny. I nawet udało się panu przestać krzyczeć. Jak się pan czuje? Lepiej?

– Nie – odparł Alex ochryple, a jego oczy przeszkakiwały z lewa na prawo, jakby się bał, że ktoś się do niego zakradnie i go zaatakuje.

– Zaśpiewałam mu piosenkę – powiedziała opiekująca się Alexem stażystka. – A on po jakiejś chwili po prostu zamilkł.

– Może i ja powinienem tego spróbować – odparł z zastanowieniem doktor Wells. – Co mu pani zaśpiewała?

– *Nothing Compares to You*.

– Och, tego chyba nie znam. Będzie mnie musiała pani nauczyć. Czy nadal odczuwa pan tak samo silny ból, panie Simons?

Alex kiwnął głową i sapnął. Moses widział, że mocno wczepia się obydwoma rękami w prześcieradło pod sobą.

– Przyprowadziłem tu panu kogoś. Zobaczmy, czy go pan rozpozna.

Doktor Wells przesunął się w bok i gestem dłoni pokazał, żeby Moses się zbliżył. Ten podszedł bez słowa. Oczy Alexa przestały strzelać na boki; mężczyzna wpatrywał się w niego z wydawałoby się absolutnym niedowierzaniem.

– Kapitan Akinyemi – wychrypiał w końcu. – Znaleźcie go!

– Jest pan pewien, że to on? – spytał doktor Wells.

– Oczywiście... oczywiście, że jestem! Kapitan

Akinyemi uratował mi życie! Byłbym już dawno martwy, gdyby nie kapitan Akinyemi! Gniłbym pod ziemią!

– Naprawdę nie wiem, dlaczego pan tak myśli – odezwał się Moses. – Ja pana w ogóle nie pamiętam. W zasadzie to jestem pewien, że nigdy wcześniej pana nie widziałem.

– Uratował mi pan życie! Jak pan może tak mówić, skoro pan mnie uratował? Kapral Simons... jak pan mógł mnie zapomnieć? Rozszarpało mnie na strzępy, a pan mnie uratował!

Alex zaczął się podnosić, próbując usiąść, lecz Moses widział, że gdy tylko się poruszył, przeszył go niehumaniczny ból. Wydał z siebie ostry, przypominający skrzek mewy krzyk, opadł płasko na łóżko i charczał, kopiąc nogami w agonii.

Moses ze smutkiem pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia, co moglibyście zrobić, żeby przestał tak cierpieć. Mówił pan, że podaliście mu oksymorfon. Jeśli to nie zadziałało, to już nie wiem, co innego mogłoby pomóc.

– Już raz mnie pan uratował – wysapał Alex. – Dlaczego nie może uratować mnie pan teraz?

– Bo nie jest pan tym, którego ratowałem – odparł Moses, pochylając się nad barierką łóżka.

– Co? Jak to? Co pan mówi?

– Kapral Simons wszedł na minę. Doznał straszliwych obrażeń. Stracił obie nogi. Pan... panu nic nie jest, przynajmniej zdaniem obecnego tu zespołu medycznego. Naprawdę nie potrafię zrozumieć, dlaczego pan myśli, że jest kapralem Simonsem, nie mam też pojęcia, skąd pan zna moje nazwisko. Może czytał pan o mnie w jakiejś artykule prasowym lub widział w telewizji jakiś dokument ze mną.

– Uratował mi pan życie – wyszeptał Alex. – Nie mogę o tym zapomnieć. Leżałem przy drodze, a pan przyszedł i ukląkł przy mnie. Pamiętam głowę małpy, którą miał pan przypiętą do munduru. Ona... ta małpka... ona się do mnie uśmiechała i to był ten moment, kiedy zrozumiałem, że przeżyję, że się z tego wyliżę.

Moses wpatrywał się mężczyznę ze zdumieniem.

– Pamięta pan moją małpkę?

Alex zacisnął mocno usta i skinął głową, a potem wydał kolejny krzyk, tak przeszywający, że Moses musiał zakryć uszy dłońmi.

Doktor Wells klepnął go w plecy na znak, że powinni wyjść. Przywołał też pielęgniarzy i wszyscy razem wycofali się na korytarz. Rudowłosa pielęgniarka zamknęła za nimi drzwi.

– Nie mogę uwierzyć, że wiedział o moim *biri layya*, amulecie w kształcie głowy małpy – wyznał nadal zdumiony Moses. – Nie mógł o niej wiedzieć, jeśli nie widział mnie w Afganistanie. To był jedyny czas, kiedy ją nosiłem.

– Tak, ten człowiek to jedna wielka zagadka – zgodził się doktor Wells. – Zaczynam myśleć, że może cierpieć na jakąś nietypową odmianę zespołu wieloobjawowego bólu miejscowego... tego, co nazywamy odruchową dystrofią współczulną.

– Ale taka dystrofia – odparł Moses – to zwykle wynik zaburzenia współczulnego układu nerwowego, który reaguje na uraz lub udar długo po tym, jak ból powinien ustąpić. A pan przecież twierdzi, że u tego pacjenta nie ma żadnych oznak obrażeń fizycznych, a tomografia mózgu niczego nie wykazała.

Doktor Wells wzruszył ramionami.

– Będziemy musieli kopać głębiej, żeby odkryć, dlaczego odczuwa aż tak silny ból. Zlecę wykonanie rezonansu magnetycznego, scyntyografię kości i badanie termograficzne. Na razie jednak rozważam podanie mu dużej dawki ketaminy i midazolamu, by wprowadzić go w stan śpiączki farmakologicznej. Nie możemy pozwolić, żeby się tak dalej męczył.

– Nadal nie mogę zrozumieć, skąd on może wiedzieć, kim jestem, i jakim cudem wie o moim amulecie. Szczerze mówiąc, trochę mnie to przeraża. Myśli pan, że przesadzam? To, czego się naoglądałem w Afganistanie... nie potrafię nawet opisać, jak straszne były niektóre z tych rzeczy. A teraz ten człowiek przywrócił je wszystkie.

– Może zejdziemy do stołówki i postawię panu kawę, co? – zaproponował doktor Wells. – Przynajmniej tyle mogę dla pana zrobić.

Moses obdarzył go gorzkim uśmiechem.

– To bardzo miłe z pana strony, panie doktorze – odrzekł.
– Ale nawet cała kawa świata nie sprawi, że pozbędę się z pamięci widoku tych wysadzonych w powietrze, rozczłonkowanych ludzi.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).